

Sala pogrążona w półmroku. W ciężkim powietrzu wisi niewypowiedziana złowroga groźba, jakby miały tam zapaść wyroki śmierci. Na środku stoi długi stół, po obu jego stronach siedzi dwunastu mężczyzn. Dwunastu apostołów Nowej Ideologii w milczeniu, cierpliwie czeka na nadejście Mesjasza.

Drzwi otwierają się z lekkim skrzypnięciem, pomieszczenie przeszywa snop światła. Wchodzi on, najważniejszy z ważnych, ten, który ma najwięcej do powiedzenia, który wie o wszystkim, na wszystko ma wpływ i o wszystkim decyduje. Władca, Mesjasz, człowiek przeznaczony do zmiany świata.

Na gorsze.

- Witam, panowie – mówi, siadając na swoim tronie – na dorocznym zebraniu Zarządu Dystryktu „Polska”.

- Witamy, prezesie – odpowiada dwunastu.

Nowoprzybyły uśmiecha się. W tej chwili przypomina Szatana, któremu przed chwilą doniesiono, że narodził się antychryst i apokalipsa jest tuż tuż. Do pełni podobieństwa brakuje mu jedynie rogów sterczących w miejscach, gdzie brak włosów tworzy zakola. Cofnięte nieco w głąb czaszki oczy, kłamstwomówne okna duszy, zdradzają ukryte zło.

Wdusza klawisz ukryty pod stołem. Częstka blatu odsuwa się, odsłaniając panel. Prezes wciska jeden z przycisków oznaczony symbolem: „40 %” i czeka z uśmiechem. Przed każdym ze zgromadzonych pojawia się kryształowy kieliszek i kranik, z którego do naczynia leje się dokładnie pięćdziesiąt mililitrów płynu – wysokogatunkowej, perfekcyjnie schłodzonej polskiej wódki.

- Szable w dłoń – mówi prezes, podnosząc kieliszek – by żyło się lepiej – wznosi toast i wypija alkohol. Pozostałych dwunastu jak na komendę unosi kieliszki do ust wzorem

przywódcy. – Gromadzimy się tu, by w gronie wspaniałych ludzi i doskonałego alkoholu radzić nad zachodzącymi w naszym Dystrykcie zmianami, zarówno tymi, które sami prokurujemy, jak i niewymagającymi naszego udziału. Na wstępie poproszę Ministra Cyfryzacji o raport dotyczący gromadzenia danych.

Jeden z uczestników zebrania, pan w podeszłym wieku o wyglądzie emerytowanego polonisty wstaje i zaczyna referować:

- Zwiększenie liczby fotoradarów o kolejne dwadzieścia procent przebiegło bez zakłóceń. Koszt ogólny przedsięwzięcia wyniósł pięćdziesiąt siedem i pół miliona euro. Na projekt z budżetu państwa przeznaczono sześćdziesiąt milionów euro. Niewykorzystana kwota została przekazana Ministrowi Finansów do rozdysponowania między członków Rządu. W koszty wliczono montaż kamer inwigilacyjnych. Nowa serwerownia obsługująca i gromadząca płynące z fotoradarów dane została oddana do użytku przed czternastoma dniami. Koszt budowy i wynagrodzenia pracowników w całości pokryła Unia. Tajna Sekcja Informatyczna przeprogramowała osiemdziesiąt osiem procent kamer przemysłowych w kraju stosownie do naszych potrzeb. Dane spływają do nowej serwerowni. Zaadaptowany i wdrożony został projekt „INDECT”. Siedemdziesiąt procent kosztów pokrył Dystrykt „Niemcy”. Kontrola społeczeństwa wzrosła diametralnie, sytuacja w Dystrykcie jest stabilna. Brak ognisk tak zwanych frakcji buntowniczych. Rozbito ostatni ruch anarchistyczny. Jego przedstawiciele zostali poddani procedurze erasacyjnej.

- A co z Anonymous?

- Grupa cyberterrorystów określana tym mianem zaniechała działalności. W oficjalnym oświadczeniu podano w wątpliwość fakt, jakoby kiedykolwiek istniała. Nagrania wideo z egzekucji kilku ludzi w maskach Guy’a Fawkesa, którzy rzekomo usiłowali napaść na Bank Centralny, krążą w sieci i są dowodem na kres ich istnienia. Badania opinii

publicznej wykazały, że ludzie uznają stracenie członków frakcji terrorystycznej za wiarygodne, a kwestię zakłócania wirtualnego porządku za ostatecznie rozwiązaną.

- Doskonale – alkohol ponownie leje się w kieliszki. Prezes unosi swój i mówi: - Cytując Maksa z „Seksmisji”: „Permanentna inwigilacja!”. Myślę, że śmiało możemy uznać to za sukces.

Pozostali zgromadzeni rechoczą i równo, jak w wojsku, piją kolejkę. Lider mówi:

- Poproszę teraz Ministra Finansów o sprawozdanie z prac resortu.

Niewysoki, łysiejący człowiek z uśmiechem pod tytułem: „Mam dużo kasy z oszustw” wstaje, podnosi kartki i zaczyna czytać:

- Zeszłoroczne reformy, które udało nam się przeprowadzić, przeszły bez echa. Społeczeństwo w wyniku niedoinformowania nie zdążyło wyrazić sprzeciwu. Bezrobocie po wprowadzeniu obowiązku zatrudnienia spadło do trzech procent. Obecnie dziewięćdziesiąt sześć procent pracujących w Dystrykcie odprowadza podatek dochodowy, co generuje zysk w wysokości niemal dwóch miliardów euro. Pozostały procent to członkowie Władzy, którzy z podatków są zwolnieni. Dodatkowo likwidacja zasiłku dla bezrobotnych przyniosła oszczędności rzędu miliarda euro. Ustawa o obowiązku zatrudnienia pozwoliła nam ograniczyć przyznawanie rent socjalnych. W ten sposób zaoszczędziliśmy ponad sześćdziesiąt miliardów. Część pieniędzy przeznaczaliśmy na politykę opieszałości lekarzy i tuszowanie błędów w sztuce lekarskiej, aby niepełnosprawni pacjenci zwawiej opuszczali nasz piękny Dystrykt. Niedawno zwiększyliśmy podatek VAT na produkty spożywcze...

- Czy to nie wzniesi protestów?

- Prognozy są optymistyczne. Przewidujemy nieznaczne rozruchy, które stłumimy klasycznie, siłą.

- No dobrze – w międzyczasie wódka leje się w kieliszki. - Otrzymałem niedawno list pochwalny od Zarządu Unii, który wysoce ceni sobie naszą politykę w Dystrykcie i ocenia ją,

jako wzorcową i godną naśladowania. Żadne ze społeczeństw pozostałych Dystryktów nie jest tak służalcze i podporządkowane jak nasze. Jesteśmy na dobrej drodze do osiągnięcia poziomu oligarchii doskonałej, tak pożądanej w Federacji. Panowie, szable w dłoń! – ponownie wypowiada słowa ulubionego toastu.

2

Ulice zaludniły się niezadowolonym tłumem. Szmer gniewnych głosów płynął przez całą megalopolis. Skandowane okrzyki: „Precz z tyranią” i „Śmierć złodziejom” wstrząsały miastem. Demonstracja narastała, opanowując kolejne rejony stolicy. Marsz w pełni ukazywał to, jak kłamliwe były podawane w telewizji wyniki sondaży, według których osiemdziesiąt procent społeczeństwa popiera Władzę i jej politykę, a blisko dziewięćdziesiąt procent akceptuje Nową Ideologię. Widok ulicy, którą przelewał się potok wzburzonych jednostek, przeczył tym „faktom”. Wielkie, biało-czerwone transparenty z szumnymi hasłami kłuły w oczy przedstawicieli elit.

Przed czoło maszerujących wybiegł kordon uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy Policji Obywatelskiej. Stanął w poprzek ulicy, blokując drogę. Ich twarze były pozbawione emocji, jakby ktoś wyciął im odpowiedzialne za uczucia płaty mózgowe. Stali niewzruszenie w równym, jak ustawianym od linijki, rzędzie. Wszyscy posępni, niemalże mroczni. Tajemnicą poliszynela było, że szkolenie pozbawiało ich większości ludzkich odruchów. Kiedy ruszali pacyfikować demonstracje, nie patrzyli, gdzie biją. Wtedy kobieta z dzieckiem na ręku lub w ciąży, starzec i młody mężczyzna byli identyczni i stanowili cel dla uderzenia klasyczną, gumową pałą. Dokładnie jak MO przed stu laty, kiedy protestowali studenci.

Pochód zatrzymał się kilkanaście metrów od kordonu, lecz nadal wrzał. Funkcjonariusze nie drgnęli.

- Świnie! – padło z tłumu.

- Sługusy!

- Podłe kreatury!

Chwilę potem w stronę policjantów posypały się bardziej obelżywe inwektywy, lecz oni nadal tkwili nieruchomo. Z tłuszczy wyszedł mężczyzna. Był w wieku akademickim, najpewniej student. Miał na sobie stary, połatany płaszcz. Kilkudniowy zarost świadczył o życiu w biegu, gdzie facet nie ma czasu się ogolić. Szedł w kierunku funkcjonariuszy. Podnieśli broń i odbezpieczyli. Wszyscy mieli importowane z USA, przestarzałe kondensatory wiązki laserowej „Thunder Eleven”, za które Dystrykt „Polska” zapłacił jak za nowe.

Młody mężczyzna lżył:

- Pieski pokazują zębki? Tyle potraficie? Warczeć i szarpać za nogawkę? Banda kastratów z wypranymi mózgami – poszedł do jednego, chwycił lufę jego karabinu i przyłożył sobie do piersi. Patrzył w pozbawione emocji oczy i mówił: - Masz jaja, żołnierzyku? Może masz, tylko twoi panowie cię za nie trzymają! A może wycięli, żebyś był posłuszny im, a nie instynktom, hm? Nie przejmuj się, z taką mordą i tak nikt by cię nie zechciał, nawet twoi koledzy z oddziału. I co? Strzelisz? Czy panowie za mocno zaciskają smycz, piesku?

Strzelił. Młodzieniec osunął się na ulicę. Tłum eksplodował wściekłością.

Prezes Zarządu Dystryktu rozsiadł się w swoim wielkim, eleganckim fotelu, nalał sobie dwudziestoletniej szkockiej i włączył projektor hologramowy. Nadeszła pora na obejrzenie wiadomości. Prezes nie oglądał ich, by się czegoś dowiedzieć. Z reguły wiedział

wszystko. Musiał jednak na bieżąco kontrolować prace Sekcji Kreatywnego Dziennikarstwa, której zadaniem było przedstawiać wydarzenia w sposób stawiający Władzę w korzystnym świetle. Oglądał chwilę, kiedy zadzwonił telefon. Dzwoniła jego sekretarka:

- Prezesie, szef SKD do pana. Połączyć?

- Połącz.

W słuchawce coś trzasnęło, po czym popłynął głos zaniepokojonego dziennikarza:

- Szefie, mamy problem.

- W moim słowniku nie ma takiego słowa. W twoim też nie powinno go być.

- Prześlę szefowi materiały na maila, oczekuję weryfikacji i opinii – głos pracownika drżał.

- Rogowski, co ty chrzaniisz?

- Sam szef zobaczy.

Prezes włączył komputer, zalogował się do skrzynki pocztowej i po chwili otrzymał wiadomość. W załączniku znajdowało się nagranie wideo. Przedstawiało wydarzenia, które miały miejsce podczas demonstracji: masowe protesty i zastrzelenie jednego z manifestantów. Prezes z trudem zdusił w sobie przekleństwo.

- Ładny kwiatek, Rogowski. Co z tym zrobicie?

- Nie... Nie wiemy, szefie. Myśleliśmy, że szef nam coś doradzi.

- Czy ty się dobrze czujesz? To wy jesteście od kreatywnego dziennikarstwa, nie ja.

Wymyślcie coś.

- Ale...

- Czy ja wszystko muszę robić sam? Dobra, słuchaj mnie: do opinii publicznej podamy wiadomość, że był to agent wrażej propagandy, którego działania sabotujące stosowanie środków prewencyjnych miały na celu zniszczenie dobrego wizerunku Władzy i naruszenia jej autorytetu. Ten, co wyszedł z tłumu, niech będzie chorym umysłowo

provokatorem, który zbiegł ze szpitala psychiatrycznego. Erasecja tych ludzi jest chyba oczywista, prawda? Mają zniknąć z kartotek, baz danych i ludzkiej pamięci, jakby nigdy ich nie było.

- Tak jest, szefie, przekażę.

4

Przez następne trzy dni ulice spływały krwią. Niektóre z nich przypominały Nil dotknięty pierwszą plagą egipską. Wielkie czerwone rozbryzgi na asfalcie, chodnikach, budynkach. Pozostałości po walczących zalegały pobojowisko. W powietrzu unosił się dym, kurz i swąd ciała palonego wiązkami laserowymi. Gdzieś pośród porozwalanych śmieci i wraków aut można było zobaczyć przypalone brązowe plamy – efekt działania granatów termicznych, których wybuch zmieniał człowieka w zwęglony pasztet.

- Nadchodzą od południa, kapitanie Sosnowski! – krzyknął plutonowy Miras z oddziału zwiadowczego.

Jego dowódca pochylał się nad planem miasta i myślał. Dobra passa skończyła się poprzedniego wieczora, kiedy ulicą Wiejską napłynęły liczne wrogie oddziały. Rebelianci zostali zmuszeni do zabarykadowania się w nadniszczonym gmachu hotelu Sheraton. Czekali na wsparcie i wyposażenie, które miały przyjść kanałami. Jak za czasów Powstania Warszawskiego.

Samo dotarcie do hotelu kosztowało ich wiele sił, a musieli się tam znaleźć, by mieć jeszcze jakiegokolwiek szanse. Po zmodernizowaniu kanalizacji w latach czterdziestych XXI wieku wszystkie ważniejsze budynki użyteczności publicznej miały obowiązek dostosować się do nowej sytuacji. Rozporządzenie było pretekstem do wyłudzenia pieniędzy. Niektórych budynków nie dało się przesunąć, więc ich właściciele zapłacili ogromne kary. Hotel Sheraton

znalazł się w pobliżu nowej sieci. Właśnie dlatego powstańcy desperacko usiłowali się do niego przebić. Kanały były ich Jeziorem Ładoga, Drogą Życia.

- Ilu?

- Będzie kilka setek, szefie.

- Stan?

- Zwykła piechota – powstaniec podrapał się po głowie. - Nie rozumiem tego.

- Chcą nas zmęczyć, złamać, pokazać siłę – odpowiedział lider buntowników – i zatrzymać tutaj wystarczająco długo, żeby zdążyli zrealizować swój plan. Będą chcieli nas otoczyć i stłamsić, albo właśnie ewakuują okolicę, żeby przeprowadzić nalot. Być może zechcą tu jakoś podłożyć bombę albo rozpylić gaz bojowy.

- Musimy szybko coś wymyślić.

- Pracuję nad tym, Miras. Jak nasze wsparcie?

- Jeszcze trochę. Ostatni kontakt nawiązaliśmy osiem minut temu. Mówili, że są kwadrans od nas.

Dowódca popatrzył przez okno, w którym sterczały resztki szyby, na zniszczoną ulicę i wrogów nią nadciągających. Westchnął. Musieli się utrzymać aż do przybycia posiłków, a to nie należało do prostych zadań. Wielu jego ludzi zginęło, spora część żyjących odniosła rany. Zaczynało brakować motywacji. Pogłaskał rękojeść dragonki, która wisiała na żabce u jego pasa. Była jego rodową pamiątką. Jeden z przodków zdobył ją na Rosjaninie podczas powstania styczniowego. Stanowiła symbol patriotyzmu i walki o wolność.

- Szefie! – Młodzieniec z długimi, czarnymi włosami kuśtykał w stronę dowódcy z odbiornikiem w ręku. – Nadają! Nasi z kanałów nadają!

- Cisza! Posłuchamy.

Z głośnika popłynął niewyraźny, zdeformowany przez trzaski głos:

- Nie damy rady... kanały pod... wysadzili... zawaliła się ulica... nie możemy przejść... wycof... Bóg z wami...

Dowódca zaklął siarczyście. Reszta oddziału oklapła, stracili resztki morale. Tak długo czekali na wsparcie, które, jak się okazało, miało nie nadejść. Teraz pozostawało im jedynie czekać na śmierć.

Kapitan Sosnowski stanął na naruszonym uderzeniami plazmy biurku urzędowym. Wyglądał jak posąg na groteskowym cokole z lakierowanego drewna. Jego oblicze odzwierciedlało grozę sytuacji, w której się znaleźli. W oczach mężczyzny widać było strach i iskierki szaleństwa, ale też gotowość do poświęcenia dla ojczyzny, narodu, idei. Wyglądał jak samuraj na kilkadziesiąt sekund przed popełnieniem harakiri – człowiek ze świadomością, że jego życie musi się skończyć, aby mógł powiedzieć o sobie, że zachował honor, zmasał hańbę kłęski. Dobył dragonki i wskazał sztychem każdego podkomendnego po kolei. Zaczął mówić:

- Żołnierze! Oto dziś nasza walka dobiegła końca. Nie zostało nam wiele czasu, a tyle jeszcze do zrobienia, tyle rozkazów do wykonania, tylu wrogów do zabicia. Jedyne, co w tej chwili możemy zdziałać, to pokazać tym łachudrom, że polski powstaniec tanio skóry nie sprzedaje! Niech cały kraj i cały świat zobaczy, jak Polska walczy o wolność! – Ucałował głównię trzymanej broni. Żołnierze zaczęli się podnosić. – Tę szablę mój przodek odebrał martwemu Rosjaninowi dwieście lat temu podczas powstania styczniowego. Tę szablę miał mój pradziadek podczas powstania warszawskiego. Tę szablę teraz mam ja podczas naszego powstania. Świat poszedł do przodu. Pojawiła się broń, o której moim przodkom się nie śniło, ale Bóg mi świadkiem, że moja dusza nie zazna spokoju, póki tego ostrza nie nakarmię krwią wrogów. Pokażę wszystkim, jak Polak walczy o wolność! Jak wilk, który choć ranny, to do ostatka będzie próbował myśliwemu przegryźć gardło. Pytanie do was: jesteście wilkami? Jesteście Polakami? Będziecie skakać wrogom do gardeł, choćby Kostucha stała nad wami z kosą?

- Tak jest! – ryknęli powstańcy.

- A zatem – kapitan wskazał sztychem miotacze plazmy „Sabre 911”, z których zabito już tak wielu zwolenników Władzy – szable w dłoń i do boju!

Zapadał zmrok. Pod jego osłoną grupka żołnierzy-straceńców przemykała pod ścianami, jak oddział cieni, aniołów śmierci idących po pierworodnych w Egipcie. Rozluźnieni żołnierze Władzy na barykadzie spostrzegli wrogów dopiero wtedy, gdy ostrze dragonki prawie pozbawiło jednego z nich głowy. Sosnowski zasłonił się martwym ciałem zabitego przed strzałami. Uskoczył za kawałek betonowej ściany. Stamtąd cisnął granat termiczny, który rozerwał na parujące strzępy kilkunastu podwładnych Władzy. Nim jeszcze dym opadł kapitan, osłaniany przez swoich ludzi, wpadł w szeregi przeciwników, a ci, zanim zrozumieli, co się wokół nich wyprawia, padali jak muchy. W ich szeregi wkradła się panika. Widzieli w dymie cień wywijający szablą, ale nie wierzyli w to. Broń biała wyszła z użycia wieki temu. To musiał być duch. Znaczna część z nich zerwała się do ucieczki. Któż śmiał walczyć ze zjawą? Jeden z nich jednak instynktownie strzelił do mary.

Kapitan Sosnowski padł na kolana z dziurą wypaloną w brzuchu przez wiązkę lasera. Uśmiechał się, gdy z jego ust pociekła krew. Ostatnim wysiłkiem rzucił szablą w zdębiałego żołnierza. Dragonka wbiła się w szyję celu prawie po rękojeść.

Kapitan zmarł z nieopisaną radością wymalowaną a twarzy.

Białe kurz opadły na ulicę z ostrzelanych budynków zabarwił się krwią, biel tańczyła z czerwienią wśród strzałów i pożarów.

Prezes Zarządu Dystryktu wszedł do swojego gabinetu. W Gmachu Zarządu czuł się trochę jak w więzieniu, ale nie wolno mu było go opuszczać. Ulice nie były miejscem dla najbardziej znenawidzonego polityka w Polsce.

Klapnął w fotel i włączył telewizor. Na dysku wyszukał fragment wiadomości sprzed trzech dni, który mógł oglądać bez końca. Nalał sobie whisky, odpalił cygaro i z zadowoleniem rozkoszował się pozytywnym obrotem spraw i nagraniem wideo:

- Siły zbrojne Dystryktu ostatecznie rozbiły bandę rebeliantów, którzy zabarykadowali się w budynku hotelu Sheraton. Kilkunastu fanatycznych przeciwników Nowej Ideologii pokazało bezmiar swego szaleństwa, rzucając się na umocnienia dzielnie walczących żołnierzy. Wszystkich spotkał zasłużony kres – pokazano nagranie z kamery przemysłowej, ale tylko moment, w którym powstańcy upadają martwi na bruk. – Desperacka szarża buntowników pod dowództwem renegata, zdrajcy i dezertera, kapitana Alberta Sosnowskiego – na ekranie obok twarzy uroczej prezenterki pojawiła się jego podobizna – wyraźnie ukazuje los, jaki czeka aspołecznych psychopatów, którzy w swym obłądnie sięgają po broń, by atakować niewinnych...

- Niewinnych, hahaha! – zarechotał prezes, wyłączając telewizor. – Rogowski, tutaj przegiąłeś. – Wstał, by uzupełnić zawartość szklanki. Gdy pod ręką znowu miał whisky z lodem, przełączył na kanał informacyjny. Całą noc obracał sekretarkę, więc nie był na bieżąco. Coś tam mu przebąkiwali dzień wcześniej, że walki nadal trwają, ale generałowie opracowują plan ostatecznego rozwiązania tej kwestii.

Ekran błysnął i prezes zobaczył znajomą twarz ślicznej prezenterki. Uśmiechnął się lubieżnie pod nosem. Ją też gościł w prywatnym gabinecie.

- Rozruchy antypaństwowe ogarnęły cały kraj. Rzesze rebeliantów-fanatyków wychodzą na ulice, by protestować przeciwko Władzy. Zarząd desygnował generała Hoffmanna na głównodowodzącego wojskiem mającym na celu poskromienie buntowników i

stłumienie rebelii. Z generałem Konradem Hoffmannem rozmawia nasz korespondent, Ireneusz Walczak.

Obraz zmienił się. Kamera pokazała polowy sztab wojskowy, namioty dowództwa, transportery opancerzone, helikoptery i tony sprzętu. W tle maszerowali żołnierze. Na pierwszym planie stał szpakowaty mężczyzna po pięćdziesiątce w mundurze koloru khaki. Kamienna twarz nie zdradzała emocji. Pod nos miał podetknięty mikrofon trzymany przez przyłizanego krawaciarza ze sztucznym uśmiechem na idealnie fotogenicznej twarzy. To był znany i lubiany Irek Walczak. Dziennikarz spytał:

- Jak przebiegają operacje?

Generał charknął, splunął zrobił minę, jak Clint Eastwood w Gran Torino i rzekł:

- Operacje, młokosie, to są w szpitalu na chirurgii. My tu prowadzimy działania bojowe.

Dziennikarz nerwowo poprawił krawat i strzepnął niewidzialny pyłek z ramienia. Na twarz, wyrażającą przed chwilą dezorientację, ponownie wychynął przesłodzony uśmiech:

- Jak zatem, panie generale, przebiegają działania bojowe?

Doświadczony żołnierz zmierzył rozmówcę wzrokiem, jakby miał przed sobą siusiumajtkę, który non stop płakał przez rok zasadniczej służby wojskowej, i niechętnie odpowiedział:

- Mozolnie. Rebelianci są wyjątkowo dobrze wyposażeni, lecz ich liczebność nie pozwala im na zdobycie przewagi. Ustępują pola w każdym punkcie linii frontu i wycofują się. Musimy kontynuować nasze starania, a osiągniemy sukces.

- Jaki jest plan?

- Nie mogę zdradzać szczegółów. Tajemnica wojskowa.

- Chyba może pan uchylić rąbka tajemnicy – podpuszczał reporter. – W końcu wasza przewaga jest miażdżąca.

- Nie mogę. Doświadczenie nabyte przez trzydzieści lat służby nie pozwala mi lekceważyć żadnego przeciwnika, nawet tak słabego, jak oni.

- Doszły nas słuchy, że zwykli ludzie opuszczają domy, chwycą za broń i dołączą do walki po stronie buntowników. Jak pan na to zareaguje?

Generał splunął i warknął:

- Tak jak na każde inne wrogie zachowanie: ogniem.

- To poruszenie może znacznie zwiększyć liczebność przeciwników.

- Hah! To pospolite ruszenie, my jesteśmy kawalerią. Wystarczy jedna szarża, jedno pier... - przypomniał sobie, że są na wizji – uderzenie, a cała ta hałastrą pierzchnie byle dalej od frontu. Brak im przeszkolenia bojowego, odwagi, motywacji...

Padł strzał. Na obiektyw kamery bryznęła krew z pękającej czaszki generała. Kawalki mózgu oblepiły drogi garnitur dziennikarza, który zaczął piszczeć, jak przerażona małolata. Rozpętało się piekło. Żołnierze biegali w nieładzie. Jedni desperacko próbowali reanimować generała, nie zważając na fakt, że brakuje mu znacznej części głowy, inni chwycili za kondensatory wiązek laserowych z lunetami i wypatrywali strzelca. Daremnie.

Prezes wściekł się. Napaść na nowomianowanego głównodowodzącego wojsk antyrebelianckich wprawiła go w paskudny nastrój. Zerwał się z fotela i w złości zmiotł ze stolika szklanę z alkoholem. Szkło rozsypało się w drobny mak, a whisky splamiła drogi dywan.

Relacja wróciła do studia, gdzie roztrzęsiona prezenterka próbowała zebrać myśli i kontynuować serwis informacyjny, jakby nie była świadkiem zamachu. Wtem transmisję przerwały zakłócenia techniczne. Gdy obraz się wyklarował, na ekranie pojawił się siedzący przy stole mężczyzna z maską Guy'a Fawkesa zasłaniającą twarz. Trzymał kartki z oświadczeniem.

- Jesteśmy Anonymous – mówił – przejęliśmy właśnie kontrolę nad rządowymi serwerami, żeby za pośrednictwem ich prywatnej stacji telewizyjnej wygłosić orędzie do całego narodu. Wszyscy byliśmy świadkami zabicia generała Hoffmanna. W podobny lub inny sposób zginie każdy człowiek, któremu się wydaje, że może zagłuszyć zew wolności hukami wystrzałów i wybuchających bomb. Długo kryliśmy się w cieniu, planowaliśmy ofensywę, czekaliśmy na właściwy moment, by uderzyć. Ten moment właśnie nadszedł. Dzisiaj, teraz. Narody Unii! Dość dźwigania na barkach jarzma Władzy! Dość płacenia drakońskich podatków! Dość ograniczania naszych swobód! Wyjdźcie na ulicę, walczyć, pokażcie im, że nie są tak potężni, jak przywykli myśleć! Siły zbrojne Dystryktu „Polska” szacuje się na cztery miliony żołnierzy. Was jest sześćdziesiąt milionów! Odebraliśmy im łączność radiową, przejmujemy bazy danych. Pojazdy bez nawigacji będą bezużyteczne, żołnierze pozbawieni możliwości porozumiewania się będą ślepi i głusi, skazani na waszą łaskę lub niełaskę. Mamy świeże informacje na temat prorewolucyjnych działań w pozostałych krajach Unii. Tam też żyją ludzie tacy jak wy, gnębieni tak jak wy, którzy mają powyżej uszu Władzy – tak jak wy. Nadszedł czas, by porwać szable w dłoń i wzorem kapitana Sosnowskiego ruszyć na barykady! Pojedynczo jesteśmy słabi. Razem zwyciężymy!

Na ekranie pojawiło się nagranie z kamery przemysłowej, na którym dowódca obrońców Sheratonu wiedzie swych podkomendnych do boju i ginie. W tle słychać było zakazany od dwudziestu lat Mazurek Dąbrowskiego. *„Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy. Co nam obca przemoc wzięła, szabłą odbierzemy...”*

Prezes wyłączył telewizor i ze złością rzucił pilotem, który roztrzaskał się na pancernej szybie. Wziął kilka głębokich wdechów. „Najważniejsze, że jestem dobrze chroniony”.

Nagle ekran telewizora ponownie się zaświecił. Chwilę śnieżył, ale zaraz potem pojawił się obraz z kamer ochrony na podziemnym parkingu rządowego gmachu. Do kamery

szcherzył się zarośnięty typ z wieloma bliznami na twarzy. W tle przy filarach uwijali się podobni jemu obszarpańcy.

- Kameruje się? – spytał któregoś ze swoich towarzyszy.

- Tak, nawijaj.

Odchrząknął i zaczął mówić:

- Dzień dobry, panie prezesie – pokazał do kamery dziwny pakunek. – Wie pan, co to jest? Ach, pewnie nie. To paczuszka z torpeksem. Przymocowaliśmy takie do wszystkich filarów na tym parkingu i w kilku miejscach na pierwszym i drugim piętrze. Eksplozje z powodzeniem wystarczą, aby budynek doszczętnie się zawalił – zrobił smutną minę. – Mam też złe wieści. Pan ze swojego biura na sto czterdziestym drugim piętrze nie zdąży się wydostać i zginie pan tutaj.

Prezes chwycił swój telefon, wybrał numer i wcisnął: „Połącz”. W słuchawce usłyszał: „Abonent, z którym próbujesz się połączyć, ma cię w dupie. Prosimy spróbować ponownie. The subscriber...”.

- Cholerni cyberterrorysty! – krzyknął.

Spróbował połączyć się poprzez linię wewnętrzną z szefem Biura Ochrony Zarządu.

- Wojtas! Wojtas, do diabła! – darł się, lecz jedyną odpowiedzią było głuche: „Tyyyt”.

- Panie prezesie – usłyszał ponownie głos intruza z parkingu, którego przebrzydła morda śmiała się z telewizora. – Właśnie dostałem informację, że próbował się pan połączyć przez linię wewnętrzną z szefem ochrony. Pan Wojtas jest tutaj i pozdrawia pana – pomachał ręką odzianego w garnitur trupa do kamery, po czym zaśmiał się.

Prezes opadł w fotel zrezygnowany. To był koniec. Ochrona martwa, komórka zdechła, on najpewniej również niedługo zginie. Serce tłukło mu się w piersi, czuł słabość, jakby wszystkie mięśnie na raz odmówiły posłuszeństwa. Kręciło mu się w głowie. Przez umysł przemykały nieuporządkowane, ponure myśli. Nie pojmował sytuacji. Jeszcze kilka dni

wcześniej był najpotężniejszym człowiekiem Dystryktu, a teraz? Jego życie waliło się w gruzy tak, jak za moment zważyć miał się budynek Zarządu.

Zobaczył ruch za oknem. Helikopter! Maszyna była opatrzona znakami Unii. „Nasi!” – pomyślał i w jego serce wstąpiła nadzieja. W pierwszej chwili myślał, że zaczną do niego strzelać z działek dużego kalibru, ale widok żółtych gwiazdek uspokoił go i naładował energią. Miał ochotę podskoczyć z radości. Drzwi śmigłowca odsunęły się. Siedzący w środku żołnierz wskazywał mu coś w górze. Z początku prezes nie wiedział, co to znaczy, ale dotarło do niego, że chodzi o dach. Miał iść na lądowisko dla helikopterów.

Wypadł z gabinetu. Czasu było mało, szaleńcy obłożyli ładunkami wybuchowymi dolne piętra budynku. Trzeba było się z niego czym prędzej wydostać.

Wbiegł na platformę, gdzie już lądował śmigłowiec. Drzwi były otwarte. Żołnierz wyciągał rękę w jego stronę. Prezes podbiegł do niego, chwycił za dłoń i dostał się do środka. Siadł w fotelu zmęczony i zdyszany, lecz wyraźnie zadowolony. Krzyknął, usiłując przebić się przez hałas:

- Dzięki za pomoc, chłopaki. Nagroda was nie ominie. Już myślałem, że te sk...

W tym momencie dostał czymś twardym w głowę i padł bez czucia.

Dwie minuty później w okolicach podziemnego parkingu budynku Zarządu przy ulicy Wiejskiej w Warszawie rozległ się huk eksplozji. Wielki biurowiec zawalił się, grzebiąc w gruzach setki ludzi.

Prezes ocknął się w podskakującym na wybojach samochodzie. Głowa bolała go, jakby ktoś cały czas wbijał mu szpikulec do lodu w potylicę. Nadgarstki i nogi w kostkach miał skrępowane. Niczego nie widział, miał na głowie czarny worek. Czuł pod sobą blachę, więc nie wieźli go bynajmniej limuzyną, ani nawet osobowym, lecz najpewniej zwykłym dostawczakiem. Wiedział, że wokół niego siedzą ludzie. Milczeli, ale gdy samochód skręcał, a jego rzucało wtedy na boki, w plecy i brzuch kłuło go coś jak kolana albo czubki butów.

- Hej! – odezwał się były polityk. – Dokąd mnie wieziecie?

Nikt nie odpowiedział.

- To nie musi się tak kończyć. Mam dużo pieniędzy. Odstawcie mnie w bezpieczne miejsce, to uczciwie się podzielimy.

Znowu cisza.

- No dobra, wszystko dla ciebie, co ty na to? – Brak odzewu. – Zdejmijcie mi chociaż ten przeklęty worek z głowy!

Zaczął się rzucać. Otrzymał kilka mocnych ciosów pięścią w brzuch i głowę. Nowa fala bólu zaćmiła mu umysł i odebrała wolę walki.

Kto go porwał? Buntownicy? Nie dawało mu to spokoju. Gdzie go wiozą? I po co? A może to jednak ratunek? Może transportują go na lotnisko, potem za granicę, jak niegdyś nazistów do Argentyny. Może dożyje w spokoju starości?

Nie, gdyby to byli przyjaciele, to nie okładaliby go, kiedy się szamotał. Porywacze? Też raczej nie. Tych skusiłby gadką o pieniądzach. Mordercy także nie, bo ci zabiliby go strzałami z helikoptera, albo pozwolili zginąć w walącej się siedzibie Zarządu. Czyli jednak buntownicy. Tylko po co zadawaliby sobie trud porywania helikoptera, przebierania się i uprowadzania go?

Samochód zahamował gwałtownie. Skrępowany prezes uderzył w ściankę i jęknął z bólu. Grzmotnął łopatką w jakiś wystający element wyposażenia auta. Porywacze podnieśli

go i bezpardonowo rzucili na podłoże. Co to było? Nie asfalt. Bruk? Kostka? Nie, większe elementy, jakby płyty chodnikowe. Uznał, że to nieważne, co mogła mu dać ta wiedza? Słyszał wokół siebie setki gniewnych głosów. Miało tam miejsce jakieś zgromadzenie, najwidoczniej z jego powodu. Zawsze lubił być w centrum uwagi, ale w tym konkretnym momencie niespecjalnie mu się to podobało. Z jego głowy zdjęto worek. To, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach.

Był na Rynku Wielkim w Krakowie. Obok zniszczonego pomnika Mickiewicza ustawiono... szafot. W pierwszej chwili myślał, że to zwidy, że coś mu się miesza od uderzenia w głowę. Mrugnął kilkakrotnie, ale obraz nie zniknął. Dwadzieścia metrów przed nim zbudowano prawdziwy, średniowieczny szafot. Spróbował stanąć, chciał uciekać, ale krzepkie ręce zamaskowanych bandziorów wnet go pochwytyły. Unieśli go tak, że ledwie dotykał gruntu czubkami butów, i poprowadzili na miejsce kaźni.

Tam czekał na niego kat w masce Guy'a Fawkesa. U pasa na żabce miał pochwę z szablą dragonką. Prezes miał ochotę zabić ministra, który zapewniał go, że Anonymous przeszli do historii. Istnieli, działali i właśnie mieli wykonać na nim wyrok. „Gdyby ten skapcianiły idiota się postarał, nie byłoby mnie tutaj” – pomyślał. „Ale sam sobie jestem winien. Tak się dzieje, jak na stołki się wpycha nierobów i ignorantów”.

Oprawcy dowlekli go do pieńka i zmusili, by uklęknął. Ułożyli jego głowę w odpowiedniej pozycji. Kat odezwał się przez megafon do tłumu:

- Tak oto kończą się rządy tyranów i złodziei. Ten, który był najpotężniejszy, któremu zdawało się, że włada całym światem, teraz klęczy przed nami w oczekiwaniu na wyrok. Potęga elit jest niczym wobec siły mas dążących do wolności. Prędzej czy później lud upomni się o swoje, a wtedy siedziby władz zadrżą w posadach i runą tak, jak Gmach Zarządu – dobył szabli i zwrócił się do prezesa: - Tę szablę miał kapitan Sosnowski podczas szaleńczej szarży na oddziały prewencji. To ona była początkiem twojego końca, iskrą która zapaliła płomień

wolności w ludzkich sercach. To symbol zrywów narodowych, który poderwał do walki nie tylko Polaków, ale i pozostałych zniewolonych obywateli Unii. Dystrykty „Francja”, „Hiszpania”, „Czechy” i „Słowacja” są już w rękach rebeliantów. W pozostałych trwają powstania. Pożegnaj się z życiem, do którego tak przywykłeś.

Uniósł oręż. Prezes zamknął oczy i zacisnął zęby. „Bylebym szybko umarł” – pomyślał. Szabla błysnęła w słońcu i opadła, jak pikujący na ofiarę jastrząb. Tłum umilkł.

Prezes otworzył oczy. Kilka centymetrów od jego nosa zobaczył ostrze dragonki. Okręcił nieco głowę, by spojrzeć na kata. Ten zdjął maskę i uśmiechał się.

- Zdziwiony? – spytał.

- Jak to...?

- Nie zabijemy cię, zbytek łaski. Zamiast tego zakujemy cię w kajdany i wyślemy do pracy w kopalni. Będziesz tam tyrał aż do wieku emerytalnego, czyli, jak wymyśliłeś, do siedemdziesiątego roku życia. Jeśli dożyjesz – zarechotał szyderczo. – Poznasz, jak to jest czuć na sobie pęta, zapieprzać w pocie czoła cały dzień za miskę stawy i tęsknić za wolnością. Przeżyjesz piekło. Postaramy się o to, żebyś do końca swoich dni żałował wszystkiego, co zrobiłeś jako prezes Zarządu. A teraz coś ku uciesze tłumu, który przybył tutaj, żeby zobaczyć, jak twoja głowa spada. Przykujcie go! – powiedział do oprawców trzymających skazańca. Ci błyskawicznie postawili go na nogi i przytwierdzili łańcuchami do słupa. – Sto batów! – zarządził kat. – Tylko żeby nie zdechł – rzekł na koniec i zszedł z podwyższenia.

Z ogromnych kolumn ustawionych wokół rynku popłynęły „Mury” Jacka Kaczmarskiego. Piosence towarzyszyły owacje zgromadzonych ludzi, świńnięcia bata i wycie polityka.